

ROMAN NOWACKI

W KOLORZE
DAWNEGO NIEBA



Atna

Nowacki

W kolorze dawnego nieba

FRAGMENT

FRAGMENT

Roman Nowacki

W kolorze dawnego nieba

Opole 2021

COPYRIGHT © by Roman Nowacki 2021
Wszelkie prawa zastrzeżone

Projekt okładki *Piotr Nowacki*
Obraz olejny na okładce *Roman Nowacki*

ISBN 978-83-958996-2-1

Wydanie pierwsze
Opole, sierpień 2021

Wydawnictwo Atna

www.atna.pl

Druk i oprawa: Totem.com.pl
88-100 Inowrocław, ul. Jacewska 89

Spis treści

Rozdział I	
Ostatnie dni lata.....	9
Rozdział II	
Beztraska jesień	27
Rozdział III	
Na starych sankach.....	43
Rozdział IV	
W świątecznym nastroju	53
Rozdział V	
Smutek, leśna przygoda i pies.....	63
Rozdział VI	
U Jamskich.....	77
Rozdział VII	
Drewniany miecz; na skraju miasta	87
Rozdział VIII	
Spotkanie z Catherine	101
Rozdział IX	
W ławce z dziewczyną.....	115
Rozdział X	
Pożegnanie	131
Rozdział XI	
Feralny list.....	139
Rozdział XII	
Dzień po dniu	149
Rozdział XIII	
Pierwsza komunია w cieniu żałoby	169

Rozdział XIV	
W szkole i w czasie wolnym	177
Rozdział XV	
Młodszy brat	205
Rozdział XVI	
Między kinem a kąpieliskiem	215
Rozdział XVII	
Pierwsza wycieczka	227
Rozdział XVIII	
Na wuefie i pod szkołą	237
Rozdział XIX	
Nowy basen; stare książki; tory kolejowe	253
Rozdział XX	
Ingrid	265
Rozdział XXI	
Jej łzy	277
Rozdział XXII	
Jeziorko bez dna	299
Rozdział XXIII	
Szare dni	307
Rozdział XXIV	
Podziemna wyprawa	323
Rozdział XXV	
Przerwana rozmowa	331
Rozdział XXVI	
Nowe mieszkanie	339
Rozdział XXVII	
Lekcja rysowania	345

Rozdział XXVIII	
Klasówka z chemii	351
Rozdział XXIX	
Tańczące krople wody.....	357
Rozdział XXX	
Majowe rozterki	365
Rozdział XXXI	
Pamiętnik	373
Rozdział XXXII	
Nowy dzień	377

FRAGMENT

FRAGMENT

Rozdział I

Ostatnie dni lata

Robiło się zimno. Nad miastem, z ceglanych kominów, zaczynał unosić się dym. Każdego dnia na ulicach przybawało liści. Zbliżała się jesień. Dni stawały się krótsze. Czasem pojawiała się mgła, która przesłaniała starą zabudowę miasta. Wtedy ostre rysy szarych kamienic, odrapane z tynku elewacje i obdarte z farby okiennice nie raziły tak, jak w pogodny dzień, gdy każdy detal widoczny był nawet z dużej odległości.

Z okien kamienicy, w której mieszkał Adam, rozciągał się nietypowy widok. Naprzeciw niej wznosiła się wielka budowla, druga pod względem wielkości w mieście, kościół ewangelicki. Wzniesiona z cegły, neogotycka świątynia, otoczona była starymi kasztanami. Od elewacji jego domu dzieliła ją tylko wybrukowana ulica i biegnące wzdłuż niej chodniki. Przejeżdżali po niej roweżyści i wozy zaprzęgnięte w konie. Samochody pojawiały się bardzo rzadko. Gdy przejeżdżał traktor lub cięża-

rówka, zawsze drgały okna, a ojciec często mówił, że dom na pewno się kiedyś rozleci.

Każdego ranka, gdy mama szła do pobliskiej mleczarni, Adam patrzył przez okno w kuchni, jak przechodzi ulicę i znika za rogiem, a potem wraca z bańką pełną mleka. Bał się o nią. Wiedział, że była jedyną osobą, na którą zawsze mógł liczyć. W domu brakowało pieniędzy. Ojciec niewiele zarabiał, a część tego, co przynosił, wydawał podczas spotkań z kolegami. Zwykle spędzał z nimi czas w miejskiej piwiarni, w której dym z papierosów zasłaniał twarze amatorów piwa, a hałas zmuszał do prowadzenia głośnych rozmów, przez co fragmenty wypowiedzi niektórych bywalców przybierały postać plotki i rozchodziły się po mieście.

Adam wiedział, że kiedyś ojciec był inny. Gdy wybuchła wojna miał cztery lata. Potem stracił rodziców. Wychowywała go babcia. Po zakończeniu wojny i zmianie granic, odebrano im majątek ziemski.

Zamierzali opuścić ojczyste strony i osiąść na tzw. Ziemiach Odzyskanych. Wśród ich bliskich krewnych przeważały wdowy z małymi dziećmi. Wahały się z podjęciem decyzji o wyjeździe. Chciały, żeby ich dzieci dorosły. Wtedy babcia postanowiła, że zaczeka z nimi na na-

stępną akcję przesiedleńczą. Na początku 1954 r. babcia zmarła, a dwa miesiące później ojca wcielili do wojska i wysłali na Syberię. Przez trzy lata budował tam linie kolejowe. Gdy wrócił, część jego rodziny była już po drugiej stronie granicy. Pozostali przygotowywali się do wyjazdu, więc postanowił zabrać się z nimi.

Osiedlił się na Górnym Śląsku. Ukończył studia wieczorowe i zaczął szukać pracy w swoim zawodzie. Pomimo że był inżynierem, nikt nie chciał go zatrudnić na stanowisku, które odpowiadałoby jego kwalifikacjom. Gdy przedstawiał swój dyplom i uprawnienia prawie każdy pracodawca obiecywał mu pracę. Dopiero po przedłożeniu dokumentów w kadrach, otrzymał informację, że miejsce jest już zajęte. Któregoś dnia, dyrektor największej fabryki w mieście, zdobył się na szczerość i powiedział mu, że z takim pochodzeniem i nazwiskiem nikt go nie zatrudni. Wtedy schował swój dyplom i zaczął imać się różnych zajęć. W końcu podjął pracę na stanowisku brygadzysty, w miejscowej parowozowni.

Starsza o rok siostra Adama, Zosia, sprawiała wrażenie dorosłej. Bawiła się wyłącznie z koleżankami w swoim wieku i krytycznie patrzyła na kolegów Adama.

Matka podjęła pracę, gdy Adam miał trzy lata. Od tego czasu w domu jedzenia nie brakowało. Poza ziemniakami i zupą codziennie był chleb, czasem bułki, biały lub żółty ser. Margarynę powoli zaczęło wypierać masło. Nastały jednak puste dni, bez niej. Pracowała i zajmowała się domem. Przynosiła zakupy, gotowała, prała, sprzątała. Nigdy nie narzekała. Umiała przygotowywać wykroje i szyć na maszynie krawieckiej. Robiła piękne swetry na drutach. Nie szukała posady w biurze, chociaż miała maturę i znała dwa języki obce. Zatrudniła się w pobliskich zakładach chemicznych, w których były najwyższe płace. Miała wyższą pensję od męża, ale praca miała charakter zmianowy. Do jej obowiązków należało nadzorowanie załadunku nawozów azotowych. Liczyła worki tego produktu, przenoszone w rękach przez pracowników z magazynów do wagonów kolejowych.

Adam, podobnie jak Zosia, nie uczęszczał do przedszkola. Gdy rodzice byli w pracy, siedział z siostrą w domu lub bawił się na podwórku z kolegami. W tej samej kamienicy mieszkała ich babcia wraz ze starszą siostrą mamy, Ireną i bratem Waldkiem, najmłodszym z rodzeństwa. Często do nich zaglądali. Najwięcej czasu poświęcała rodzeństwu babcia.

Zbliżała się ostatnia, beztroška jesień w życiu Adama. Za rok miał rozpocząć naukę w szkole podstawowej. Nie martwił się tym, chociaż starsi koledzy bardzo narzekali na panujący tam rygor. Adam dziwił się, gdy opowiadali mu o swoich zatargach z nauczycielami, do których dochodziło z błahych powodów. Zosia chwaliła swoją nauczycielkę, ale chodziła do szkoły zaledwie kilka dni, więc jej relacje nie miały większego znaczenia. Od kuzyna Józka, chodzącego od ponad dwóch lat do przedszkola, prowadzonego przez Siostry Służebniczki dowiedział się, że muszą być posłuszni, bo inaczej jest im przykro i co gorsze mogą o tym powiedzieć rodzicom. Jego starszy o rok brat Robert, rozpoczął naukę w pierwszej klasie. Ich mama miała na imię Natalia. Była starszą o kilka lat siostrą mamy Adama. Od ponad trzech lat chorowała. Często przebywała w szpitalu. Wszyscy bardzo ją lubili, bo była miła, odcytana i miała dużą wiedzę o świecie. Jej mąż był zupełnie inny. Pracował na kolei. Rozładowywał wagony. Najczęściej były to wagony wypełnione węglem kamiennym. Po otrzymaniu wypłaty przeważnie przepuszczał dużą część pieniędzy w ciągu kilku dni w miejskiej piwiarni, stawiając piwo komu popadnie. Później prosił żonę, żeby pożyczala

na dalsze życie u kogoś w rodzinie. Najczęściej udawała się po pożyczkę do jednej z sióstr. Sam do swoich krewnych nie miał po co iść, ponieważ postępowali podobnie jak on. Pożyczonych pieniędzy nigdy nie zwracał. Ciocia Natalia sama musiała troszczyć się o trzech synów, w tym dopiero raczkującego Zenka.

Józek wyróżniał się wśród nich. Był bardzo inteligentny. Stał się najlepszym przyjacielem Adama. Obydwaj byli marzycielami. Krytycznie odnosili się do otaczającej ich rzeczywistości i z nadzieją patrzyli w przyszłość. Chcieli wyrwać się z biedy, wyjechać z miasta, w którym mieszkali i gdzieś indziej znaleźć lepsze warunki do życia. Czasem wiele godzin spędzali na rozmowach o tym, co chcą zmienić i co chcą w życiu osiągnąć. Ich plany wielokrotnie ulegały zmianie, ale jedno pozostawało niezmiennie – nie chcieli być biedni. Nie chcieli mieć dziurawych butów, pocerowanych swetrów, połatanych spodni i sztukowanych rękawów u kurtek, z których wyrosli. Innym członkom rodziny powodziło się trochę lepiej.

Matka Adama poza siostrą Natalią i rodzeństwem, mieszkającym w tej samej kamienicy co ona, miała jeszcze trzy siostry. Była od nich dużo młodsza. Najstarsza

z jej sióstr, Sylwia, miała aż siedmioro dzieci. Większość z nich była dużo starsza od Adama, dlatego rzadko się z nimi widywał. Tylko Stenia i Marta były prawie w jego wieku. Mieszkały w innej dzielnicy miasta, na Pogorzelcu. Pozostałe siostry mamy, Rozalia i Sabina, podobnie jak ciocia Natalia, mieszkały w Śródmieściu. Ich dzieci w większości były rówieśnikami Adama. Ciocia Rozalia miała dwóch synów, Janusza i o kilka lat młodszego Krzyśka oraz córkę, Nelkę. Ciocia Sabina miała tylko jednego syna, Norberta.

Poza spędzaniem czasu z Józkiem, Adam często widywał się również z Robertem i Januszem. Jednak nie dzielił się z nimi swoimi przemyśleniami i planami na przyszłość. Na uboczu pozostawał Norbert, którego rodzina była lepiej sytuowana i wyraźnie stroniła od reszty.

Wejście do kamienicy usytuowane było w elewacji wschodniej, przez co mieszkające w niej dzieci po wyjściu z domu od razu trafiały na podwórze. Było ono niewielkie, prostokątne, z dwóch stron zamknięte zabudowaniami, z trzeciej – od północnej strony – żelaznym ogrodzeniem, za którym był mały wewnętrzny plac, należący do sąsiednich kamienic. Od południa podwórze otwarte było na wąski ciąg pieszy, z którego można by-

ło przejść na ulicę Głowackiego lub idąc w przeciwnym kierunku dojść do ulicy Judyma. Ceglana, tylna ściana domu, ograniczającego podwórze od strony wschodniej, pozbawiona była okien. Na całej jej długości ciągnęły się dobudowane do niej komórki, pokryte zmurszałą papą. W każdej były drewniane drzwi, wykonane z prostych, poszarzałych desek. Należały do mieszkańców domu.

Sąsiedzi Adama, mający okna zwrócone na podwórze, w ciepłe dni, wsparci na parapetach obserwowali bawiące się dzieci. Gdy padał deszcz, a na podwórzu pojawiały się wielkie kałuże, Adam z ciekawością przyglądał się wodzie tryskającej z pękniętej rynny na kamienną podstawę, odprowadzającą ją na wydeptaną ścieżkę, którą spływała w stronę chodnika. Jego podmyte, gdzieniegdzie popękane kafle, w czasie deszczu unosiły się to znów opadały, utrudniając poruszanie się starszym przechodniom. Uliczny bruk nie pozostawał w tyle. Tworzył prawdziwe wyspy i rozlewiska wodne, które ku uciesze dzieci umożliwiały wzajemne ochlapywanie się, dopóki ich ktoś nie przegonił.

Przydomowe podwórze wraz z ulicą Głowackiego, ulicą Matejki i przecinającą je główną ulicą miasta stanowiły centralny obszar, na którym Adam dorastał.

Inne ulice, po których się włóczył były zbyt ciche i obce. Wszystkich ciągnęło do centrum z uwagi na gęściejszą sieć sklepów i zakładów usługowych. Sąsiadujące ze sobą sklepy mięsne, spożywcze, zakłady szewskie, krawieckie, szklarnie, piekarnie i księgarnie przyciągały także spragnione wrażeń dzieci. Niektóre przychodziły do Śródmieścia z odległych blokowisk NDM-u, czasem nawet z Pogorzela.

Zanosiło się na deszcz. Adam, jak co dzień, usiadł na parapecie kuchennego okna, by patrzeć na wróble skaczące po gałęziach wysokich kasztanów, rosnących po drugiej stronie ulicy. Nagle klamka od drzwi poruszyła się w sposób tak charakterystyczny, że od razu odgadł, kto przyszedł. Otworzył je na oścież. W drzwiach stał Józek, szczupły chłopiec, ubrany w starą, zieloną kurtkę bez górnego guzika, w pomiętych spodniach i rozdeptanych butach.

– Masz coś do jedzenia? – spytał.

– No pewnie, chleb i masło – podchwycił Adam i podszedł do pieca kuchennego. – Jest też jakaś zupa... chyba tu – wskazał stary, emaliowany gar. Podniósł pokrywkę i pokiwał głową, na znak, że to zupa.

– Jaka?

– Z kapustą. Jadłem ją wczoraj. Jest bardzo dobra.

Józek postawił garnek z zupą na blachę kuchni węgłowej i zaczął kroić chleb.

– Mój tato już wydał wszystkie pieniądze, a mama jest jeszcze w szpitalu – powiedział ze smutkiem Józek. – Zenek jest u cioci Rozalii. Nam też kazała przyjść. Robert chodzi tam codziennie, ale ja wolę przychodzić do ciebie.

– Dobrze, że moja mama nie choruje – wtrącił Adam.

– Jest teraz na drugiej zmianie?

– Tak – odparł Adam. – Dzisiaj dopiero drugi dzień.

– Co dziś robimy? – spytał Józek i zaczął jeść zupę.

– Idziemy na Żabieniec.

– Tam są psy – przestrzegł Józek.

– One nie gryzą.

– Za to głośno szczekają. Jak ktoś usłyszy szczekanie psa, od razu będzie wiedział, że ktoś przyszedł.

– Nie będzie. Zobacz, co mam.

Adam otworzył wewnętrzne skrzydło okna i wyciągnął małe zawiniątko. Odwinął papier i pokazał mu kawałek kiełbasy.

– Zwyczajna, ale psu będzie smakować.

– Nawet ładnie wygląda – zauważył Józek, nie odrywając wzroku od wędliny.

– No dobrze, zjedz. Znajdziemy inny sposób.

– Coś ty? Inny sposób na psa? To już wolę sobie na nią popatrzeć.

Po wyjściu z domu zauważyli jadący ulicą wóz z węglem. Adam uznał, że powinni skorzystać z nadarzającej się okazji.

– To pan Gazdał. Wsiadamy – zdecydował Adam.

Wskoczyli na deskę, stanowiącą przedłużenie skrzyni wozu. Oparli się o przegrodę, za którą był węgiel i zaczęli wymachiwać nogami. Stary, zgarbiony, furman odwrócił głowę. Spojrzał na nich. Jego łagodny wzrok i zastygła w bezruchu, pomarszczona twarz skłoniła chłopców do niemal jednoczesnego zabrania głosu.

– Dzień dobry panu! – krzyknęli w obawie, że ich nie usłyszy. – Zaraz wysiadamy.

Woźnica uśmiechnął się i kiwnął głową. Po chwili powiedział – Jadę na Pogorzelec, ale po drodze muszę jeszcze dostarczyć węgiel do dwóch domów.

– My też tam jedziemy – odparł Adam.

– A dokąd to was niesie?

– Do cici. Miała mamie wszyć zamek do torby – odpowiedział, po krótkim namyśle, Adam.

Przejażdżka wozem, wypełnionym węglem, ciągniętym przez starego konia, sprawiła im dużo radości. W czasie postojów, gdy furman zrzucał z wozu kolejną część węgla, zbierali rozsypujące się po ulicy bryłki i kładli je na usypany stos. Zanim dotarli na Pogorzelec zdążyli upodobnić się do węglarzy. Ich ubrania, ręce i twarze pokryte były cienką warstwą miazgi węglowej.

– Po co wsiedliśmy na ten wóz? – spytał zmartwiony Józek. – Kto mi teraz wypierze ubranie?

– Przestań marudzić. To dobrze, że tak wyglądamy. Jak zrobi się ciemno, nikt nas nie zauważy. A ubranie przynieś do mnie. Moja mama wypierze.

– Ale ja nie mam się w co przebrać. Znowu będę musiał siedzieć w domu, aż przyjdzie ciocia Irena i zrobi pranie.

– Nie narzekaj. Dam ci jakąś swoją kurtkę.

– Przecież ty nie masz dwóch kurtek.

– Nie mam – uśmiechnął się Adam – ale jak sobie wyobrazisz, że mam, to przestaniesz się martwić.

– Cicho, bo nas ktoś usłyszy.

Resztę drogi prowadzącej do Żabieńca przebyli w milczeniu, bacznie obserwując teren. Chodzili tędy wiele razy. Nigdy jednak nie byli tu o zmroku. Podeszli pod drewniany płot, ciągnący się wokół jakichś zabudowań. Ogrodzenie nie było wysokie, a niektóre sztachety były spróchniałe.

– Przechodzimy – szepnął Adam.

Przesunęli jedną z desek i weszli na podwórze. Wpatrywali się w zabudowania. Po chwili Józek chwycił Adama za rękaw i powiedział:

– Tam jest buda. Przygotuj kiełbasę.

Zanim dokończył, rozległo się głośne szczekanie. Adam zbliżył się do psa i rzucił mu zawiniątko. Pies podbiegł do niego i od razu ucichł. Zajął się pałaszowaniem wędliny. Chłopcy bez przeszkód weszli do stodoły. Była drewniana. Jej czasy świetności dawno już minęły. Zmurszałe deski miały ciężki charakterystyczny zapach. Większe zwierzęta, trzy krowy i stary koń, zaniepokoiły się na ich widok.

Dostrzegli drabinę. Gdy weszli na górę nastąpiła cisza. Snopy siana leżały pod ścianami pomieszczenia. Ułożyli je na podłodze, zrobionej z luźno ułożonych obok siebie desek. Po odsunięciu słomy, przez szpary w podłodze, mogli obserwować wszystko, co działo się na dole. Było tam niemal zupełnie ciemno i bardzo spokojnie. Chłopcy podeszli do otworu okiennego, usytuowanego w ścianie. Wyjrzel na zewnątrz. Białe światło księżyca załamywało się na zabudowaniach gospodarstwa, dając mgliste wyobrażenie o rozmieszczeniu budynków. Gdy już upewnili się, że nie ma żadnego zagrożenia zaczęli przygotowywać sobie posłania.

– Dobrze, że dom jest daleko – odezwał się Józek.

– Pomóż mi rozerwać ten snopek – powiedział Adam, wskazując wsparty o ścianę snop siana. – Zrobimy z niego poduszki.

– Ale tu duszno – zauważył Józek i zaczął się rozglądać. – Szybko robi się ciemno.

– Przykryj się sianem i siedź cicho.

– A jak twoi rodzice zauważą, że cię nie ma w domu i zaczną się martwić? – odezwał się Józek.

– Mama przyjdzie z pracy około dwunastej w nocy. Napisałem kartkę, że śpię u ciebie. Nie będzie sprawdzać.

– A twój tato?

– Nawet nie zauważy – zapewnił go Adam.

– A jak twoja mama sprawdzi u mnie w domu? Zapyta mojego tatę albo Roberta... zaniepokoił się Józek.

– Możemy powiedzieć, że spaliśmy u ciebie na strychu. To tak jakbyśmy spali w domu. Zresztą twój tato niedawno wziął wypłatę... Przypomni sobie o was dopiero za kilka dni.

Ostatnich słów Adama Józek już nie usłyszał. Spał. Adam spojrział w okno. Światło księżycy kładło smugę na niebie pełnym gwiazd. Lekki podmuch chłodnego wiatru dawał znać, że nadciąga jesień. Zapanowała cisza. Wypełniający pomieszczenie stodoły zapach siana powoli sprowadzał sen. Adam ze zdumieniem obserwował, jak księżyc robił się coraz większy, a gwiazdy coraz jaśniejsze. Zarazem wszystko stawało się niewyraźne.

– Wstawaj! Wszyscy już chodzą po podwórzu. Zaraz ktoś tu wejdzie – Adam przetarł oczy i ujrzał, wyraźnie zaniepokojonego Józka.

– Dobrze, chodźmy – odparł.

Podeszli do drabiny i zaczęli schodzić w dół. W tym momencie do stodoły weszła starsza kobieta.

– Co wy tu robicie?! – krzyknęła, zaskoczona ich widokiem. – Skąd żeście się tu wzięli?

– Spaliśmy na sianie – odpowiedział Józek, w nadziei, że kobieta doceni jego szczerość. – Chcieliśmy zobaczyć, jak to jest... Mieszkamy w mieście...

– A już was tu nie ma! – wrzasnęła, jakby nie rozumiała jego słów.

Chłopcy wybiegli na zewnątrz. Pogonili drepczące po trawie kaczki, wystraszyli grzebiące w ziemi kury i przeprawili się przez płot.

Rano wszystko wyglądało inaczej. Zapowiadał się słoneczny dzień. Chłopcy szli skrajem lasu. Dochodziły ich odgłosy ptactwa, nawołującego do zabawy. Tak im się przynajmniej wydawało.

– Co dzisiaj będziemy robić? – spytał Józek.

– Nie wiem.

– Kiedy mam przyjść?

– Kiedy chcesz – odparł Adam, kopiąc przydrożny kamień.

– A co dzisiaj jest?

– Czwartek.

– To przyjdę w piątek albo w sobotę, jak ciocia wypierze mi ubranie.

Chłopcy spojrzeli na siebie i roześmiali się. Po czym zaczęli otrzępywać się ze słomy. W domu nikt się nie domyślił, że spędzili noc na wsi.

Sobota należała do najprzyjemniejszych dni tygodnia. Po obiedzie rodzice Adama zabierali dzieci w pogodne dni do parku. To samo robili ich krewni. Zajmowali zawsze kilka sąsiadujących ze sobą ławek. Wtedy wszystkie dzieci bawiły się razem.

W tę sobotę mama popołudnie miała spędzić w pracy, więc Adam i Zosia musieli zostać w domu lub na swoim podwórzu. Zosia spędzała czas z koleżankami, bawiąc się w prowadzenie domu. Adam wolał gry wojenne. Dzielił wojsko, w które zamieniały się spinacze do bielizny, na dwa wrogie oddziały i wymyślał najróżniejsze akcje, w których jego żołnierze, po ciężkich walkach, odnosili zwycięstwo. Wysokie góry, które imitowały pofałdowane poduszki i pierzyny trzeba było odpowiednio ułożyć. Niekiedy zabierało mu to sporo czasu. Zbyt wypiętrzone góry, skarpy, czy mocno pofałdowany teren, uzyskiwał przy pomocy prześcieradła.

Czasem żołnierze nie mogli opuścić koszar, gdy mama robiła pranie i większość spinaczy zabierała. Wtedy zastępował je zapalkami. Wozy bojowe, w które prze-

mieniały się pudełka po zapalkach lub zrobione z tektury, okazywały się nietrwałe. Uszkadzały się w czasie walk. Trzeba je było naprawiać, czasem wymieniać na nowe. Potyczki wojsk trwały długie godziny, zwłaszcza gdy w zabawie uczestniczył Józek, któremu Adam powierzał jeden z oddziałów. Brak zrozumienia rodziców dla scenografii niektórych walk, pociągających za sobą bałagan sprawił, że chłopcy coraz częściej przynosili gry wojenne na podwórze.